

Gdy nasz ojciec zmarł, żadne z jego dzieci nie zdobyło się na ani jedną łzę. Żadne go nie żałowało. Zanim to jednak nastąpiło, po prawie sześciu latach wyrzutów sumienia i gardzenia samym sobą w wigilijny wieczór dowiedziałem się, że moje dziecko urodziło się i żyje. Myślałem, że oszaleję ze szczęścia. Nigdy dotąd nie czułem takiej radości. Nie zmąciła mi jej nawet wiedza, że jest chore i czeka je operacja serca. Trafiłem na informacje o córce przypadkiem przez stronę fundacji zbierającej środki na leczenie. Mieszkanie jej matki, które znałem, od dawna zajmowali nowi lokatorzy. O niczym nie wiedzieli albo nie chcieli mówić. Na wysokości zadania stanął mój przyjaciel Emil, na którego od ładnych kilku lat mogłem liczyć we wszelkich trudnych sprawach. Ustalił, że Ania wraz z naszym dzieckiem mieszka u rodziców pod Krakowem. Korzystając z licznych znajomości, zdobył namiary.

Z moją żoną i byłą kochanką ojca – Marzeną – nie łączyło mnie nic. Z jej bliźniętami, a moim przyrodnym rodzeństwem łączyło mnie jeszcze mniej, bo nie potrafiłem ich obdarzyć cieplejszym uczuciem. Moja siostra spędzała święta ogromnie zajęta małym Grzesiem, którego dostała w spadku po zmarłej Agacie. Czułem się w Łodzi zbędny. Bez wahania wskoczyłem w samochód i ruszyłem na południe.

Umiałem siedzieć cierpliwie i czekać bez ruchu. To była jedna z niewielu rzeczy, jakich nauczył mnie ojciec. Załadowałem na tylne siedzenie śpiwór, dwa koce, lornetkę, magiczny czajnik do gotowania wody w samochodzie i termos. Zaparkowałem w krzakach, blisko interesującego mnie domu, i skupiłem się na majstrowaniu kolejnych kaw, rozmyślaniu oraz obserwacji okien. Szczęśliwie nie trzymał mróz. Istniała szansa, że jakoś przeżyję to szaleństwo w plenerze.

Teren był mi kompletnie obcy. Kraków znałem. Wprawdzie głównie z sal konferencyjnych i hoteli, ale jednak. Tymczasem rejon, w którym się znalazłem, nie mówił mi nic. Z nudów grzebałem w tablecie i plątałem się wirtualnie po najbliższej okolicy, jednym okiem zerkając na wyświetlacz, a drugim na dom. Z krajowej dziewięćdziesiątki czwórki zjechałem w lewo tuż za Jerzmanowicami. Nawigacja zapierała się, że na Wawel mógłbym dotrzeć w ciągu czterdziestu minut. Blisko. Tuż obok mnie wisiała tabliczka informująca, że znajduję się przy ulicy Łokietka. Moja szmyrgnięta historycznie siostra zachwyciłaby się tą lokalizacją. Mnie to nie ruszało. Dziarski, choć nieduży monarcha zszedł z tego padołu już prawie siedemset lat temu, więc uznałem, że nie ma się nad czym rozczulać. Niech spoczywa w spokoju.

Światem rządziła zima, było świąteczne popołudnie, wokół ani żywego ducha. W niedużej odległości widziałem mały, płatny parking i tablicę informującą o zagospodarowaniu turystycznym okolicy. Próbowałem sobie przypomnieć, czy w tym rejonie jest coś godnego

zwiedzania, jednak byłem zbyt zaaferowany, żeby wygrzebać z pamięci cokolwiek. Wokół mnie stały luźno rozrzucone domy. Za nimi marzły w absolutnej ciszy ciemne, puste pola, bo śnieg nie raczył ich ubielić. W oddali czernił się las. Po świetle rozpełzł się mrok. W nielicznych budynkach powoli zapalały się kolejne światła i choinki. Rodziny cieszyły się z bycia razem, ja cieszyłem się z bycia bliżej niż kiedykolwiek.

Interesujący mnie budynek był nieduży, zwarty i nieciekawym. Miał pewnie ze czterdzieści lat i dość poniszczoną elewację, niegdyś piaskową albo żółtą. Żadne чудо. Zbudowany na planie kwadratu, piętrowy, z płaskim dachem, bez ganku, przybudówek czy garażu. Na piętrze przez całą szerokość frontowej ściany ciągnął się balkon, a w zasadzie loggia. Za nią błyszczały olbrzymie okna ozdobione fikuśnymi, bardzo symbolicznymi firaneczkami, jakby nad jasną, uśmiechniętą szeroko twarzą podskakiwała niesforna, krótka grzywka. Doskonale wiedziałem, co się dzieje w środku, zwłaszcza że miałem lornetkę.

Już po dwóch godzinach czekania spotkała mnie nagroda. Niecierpliwie wyprostowałem się za kierownicą. Przyłożyłem lornetkę do oczu cokolwiek zbyt energicznie, narażając się na malownicze limo. Syknąłem z bólu, odsunąłem sprzęt szpiegowski i nerwowo pomasażowałem obity policzek. Tymczasem w oknie pokoju na piętrze zapaliło się światło i dostrzegłem postać, która pojawiła się w drzwiach. Odwracała się jeszcze w progu, jakby zachęcała kogoś do pójścia za nią. Od razu wiedziałem, że to ona, chociaż przesłaniało ją nieco zachodzące na okno świąteczne drzewko. Niska i niepozorna, tak jak ją zapamiętałem. Miała już trzydzieści lat, a z daleka sprawiała wrażenie bardzo młodej dziewczyny. W jej ruchach kryło się mnóstwo energii i dynamiki, jakby wypełniała ją sama radość. Była chyba szczuplejsza niż dawniej, choć nie miałem pewności. Kiedyś widywałem ją wyłącznie w sportowych bluzach i dżinsach. Poza tym jednym wyjątkowym razem sześć lat temu w jej mieszkaniu, kiedy zdesperowany i w poczuciu kompletnej beznadziei poleciałem do niej po choćby złudną nadzieję ratunku. Niespodziewanie dostałem wówczas w prezencie ją całą, żeby potem uciec bez słowa i podziękować jak najgorsza menda.

Tymczasem ona, całkowicie nieświadoma tego, że ją podglądam, w świątecznej bordowej sukience podkreślającej wszelkie walory kobiecości usiadła przy pianinie i zaczęła grać. Dawniej nosiła krótką ciemnoblonde fryzurę z zachodzącymi na twarz jakimiś dziwnymi, niesymetrycznymi pazurkami. Teraz włosy jej urosły i łagodnymi falami spływały na ramiona. Połyskiwał w nich ciepły, miodowy odcień, którego wcześniej nie dostrzegłem. Tak wyglądała znacznie lepiej. W każdym razie w moim odczuciu, którym nie miałem się z kim podzielić.

Nie docierał do mnie żaden dźwięk, a jednak byłem głęboko przekonany, że Ania gra

świetnie. To stanowiło dla mnie nowość. Niby już przed laty, ucząc matematyki, prowadziła lekcje muzyki z najmłodszymi klasami w podstawówce. Nie zgłębiałem jednak tego tematu, bo kompletnie mnie nie interesował. Poznałem ją przy okazji wyświadczenia ciotce belferce szkolnej przysługi. Widywaliśmy się z Anią na warsztatach z podstaw bankowości dla dzieci. Fundowałem jej potem niezobowiązującą kawę w pobliskiej kawiarni, jednak nigdy o nic nie pytałem. Wiedziałem tyle, ile sama zechciała mi powiedzieć. W życiu nie przyszło mi do głowy, że może grać na pianinie z takim zapamiętaniem. Zahipnotyzowała mnie niemal od ręki do tego stopnia, że byłem skłonny z marszu wybaczyć jej ten związek z muzyką, byleby tylko nie sięgała po nuty Bizeta.

Kilka chwil później zmaterializowała się obok niej postać znacznie mniejsza, obdarzona burzą rudych, kręconych włosów. Znałem ją tylko z jednej fotografii z internetu, lecz nie miałem najmniejszych wątpliwości, kim jest. Stanowiła wierną kopię mojej siostry z czasów, gdy byliśmy mali. Różniła się od Edyty tylko okularami na małym, piegowatym nosku.

To była moja córka.

Moje własne dziecko, które niegdyś bezmyślnie chciałem wymazać nie tylko ze swojej świadomości, ale w ogóle z życia. Miała pięć lat. Usiadła grzecznie na foteliku obok pianina i z uwagą słuchała. Kiedy matka przerywała na chwilę grę, żeby zamienić z nią kilka słów, dziewczynka z zapalem obdarzała ją brawami, a ja niemal się dusiłem z przejęcia, zapominając co i rusz oddychać.

Po jakimś czasie cały ten kameralny koncert się zakończył. Starsza wzięła młodszą na kolana i trzymając w dłoni drobną łapkę dziewczynki, zaczęła wciskać kolejne klawisze, najwyraźniej coś jej przy tym tłumacząc. Mała śledziła wzrokiem własną rączkę, a potem w skupieniu próbowała powtarzać te same sekwencje. Chyba świetnie się przy tym bawiły, bo co chwilę uśmiechały się do siebie promiennie. Trwało to dość długo. Dla mnie mogłoby nigdy się nie kończyć. Gapiłem się jak zaczarowany. Wreszcie jednak znudziła je ta zabawa, matka odwróciła córkę buzią do siebie i mocno przytuliła, głaszcząc po niesfornych, rudych loczkach. Dziewczynka zarzuciła jej ręce na szyję. Trwały tak przez chwilę w beztrudnej i magicznej radości z bycia razem.

Tego było dla mnie za dużo. Nie wytrzymałem emocji, które gwałtownie we mnie wzbierały i nie znajdowały żadnej drogi ujścia. Nie przywykłem do takich doznań i nie umiałem sobie z nimi poradzić. Ba, nawet nie potrafiłem ich zdefiniować. Gwałtownie odłożyłem lornetkę na siedzenie obok, uruchomiłem silnik i zawróciłem ostrożnie, żeby nie ściągać na siebie uwagi. Towarzyszyła mi bolesna pewność, że ten sielski świat nut, dźwięków, prostych, serdecznych gestów i zwykłej, szczerzej czułości jest mi kompletnie

niedostępny. Odjechałem w stronę krakowskiego hotelu ze świadomością, że gdybym jeszcze trochę na nie popatrzył, niechybnie bym się rozplakał.

Wiedziałem już wtedy, że te dwie istoty siedzące przy pianinie to sedno mojego życia, choć wcale nie miałem pewności, czy będę umiał je pokochać. Dokuczała mi świadomość, że niczego nie mogę im dać, a nic to stanowczo za mało, żeby zawracać im głowę. W domu czekała na mnie żona z dwójką dzieci mojego ojca, których bezpieczeństwo zależało tylko ode mnie. Byłem przekonany, że jeśli zostawiłbym ich samych, ojciec wcześniej czy później zacząłby składać rodzinne, towarzyskie wizyty. To musiałyby się skończyć tak samo, jak moje wieczorne odwiedziny w jego gabinecie. Mimo upływu lat, terapii, sukcesu zawodowego i niezłej pozycji finansowej wciąż byłem w jakimś stopniu zniewolony psychicznie. Ojciec potrafił mnie zastraszyć, szantażować i tłamsić, chociaż pozornie niczego takiego nie robił. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę i sprawiało mu to niezłą uciechę.

Pojechałem do hotelu na peryferiach Krakowa i przesiedziałem cały świąteczny wieczór w pustym pokoju jak ostatni kretyn, wpatrując się w coraz bardziej wygniecioną wydrukowaną z internetu podobiznę dziecka. Zdjęcia Ani nie miałem. Wystarczyło jednak, że przymknąłem oczy i znów widziałem ją w pokoju na piętrze, a jej dłonie płynęły miękko, choć bezdźwięcznie, po kolejnych oktawach. Wypiłem piwo, które w niczym mi nie pomogło, poszedłem pod prysznic, a potem spędziłem bezsenną noc, przewracając się na łóżku i raz po raz dochodząc do ponurej konkluzji, że moje życie jest całkowicie i nieodwracalnie spięprzone. Wreszcie niemal nad ranem podjąłem decyzję, że odpocznę parę godzin i wrócę do Łodzi. Uspokojony tą rezolucją, zasnąłem jak kamień i gniłem w łóżku niemal do południa.